

JOE HILL

STRAŽAK



Prolog

Płonący

Harper Grayson widziała w telewizji, jak płoną ludzie – wszyscy widzieli, ale pierwszy raz zobaczyła, jak ktoś płonie naprawdę, na placu zabaw za szkołą.

W Bostonie i innych częściach Massachusetts szkoły zostały zamknięte, ale tu, w New Hampshire, wciąż jeszcze były otwarte. W New Hampshire zdarzały się przypadki, jednak było ich niewiele. Harper słyszała o sześciu pacjentach przetrzymywanych w bezpiecznym skrzydle Concord Hospital, nad którymi czuwał zespół lekarzy w kombinezonach ochronnych i pielęgniarki uzbrojone w gaśnice.

Harper przykładała zimny kompres do policzka Raymonda Bly'ego, pierwszoklasisty, który zarobił w twarz rakieta do badmintona. Każdej wiosny zdarzało się parę takich przypadków, że trener Keillor łamał rakiety do badmintona. Co roku powtarzał dzieciakom, żeby znosiły to jak mężczyźni, nawet wtedy, kiedy trzymały w garści własne zęby. Czasami miała ochotę być tam i patrzeć, jak dostaje rakieta w jaja, tylko po to, by powiedzieć mu, żeby sam znosił to po męsku.

Raymond nie płakał, gdy przyszedł, ale po tym, jak zobaczył się w lustrze, na chwilę stracił panowanie nad sobą, broda zaczęła mu się trząść, a mięśnie twarzy drgnęły nerwowo. Oko było sinoczarne, niemal całkowicie zamknięte przez opuchliznę, i Harper wiedziała, że ten widok jest dużo bardziej

przerażający niż ból.

Chcąc odwrócić uwagę chłopca, sięgnęła do schowka ze słodyczami. Było to poobijane pudełko na lunch z przerdzewiałymi zawiasami i podobizną Mary Poppins, w którym mieściło się kilkadziesiąt minibatoników, a także przerośnięta rzodkiewka i ziemniak, zarezerwowane na najczarniejszą godzinę.

Zajrzała do środka, podczas gdy Raymond przyciskał kompres do policzka.

– Hm – odezwała się. – Coś mi się wydaje, że mam tu jeszcze jednego twixa i chyba mogłabym go wykorzystać.

– Dostanę batonik? – spytał chłopiec stłumionym głosem.

– Dostaniesz coś lepszego. Mam tu wielką, pyszną rzodkiewkę i jeśli będziesz naprawdę grzeczny, pozwolę ci ją zjeść, a sama zjem twixa. – Pokazała mu wnętrze pudełka, żeby mógł przyjrzeć się rzodkiewce.

– Fuj. Nie chcę rzodkiewki.

– A co powiesz na wielkiego słodkiego ziemniaka? To prawdziwy rarytas.

– Fuj. Siłujmy się na rękę o to, kto dostanie twixa. Jestem w tym lepszy od mojego taty.

Harper zagwizdała trzy takty *My Favorite Things*, udając, że rozważa jego propozycję. Często pogwizdywała melodie z musicali z lat sześćdziesiątych i potajemnie marzyła o tym, że wtórują jej sójki błękitne i rudziki.

– Raymondzie Bly, nie wiem, czy to dobry pomysł, żebyś siłował się ze mną na rękę. Jestem bardzo wysportowana.

Udawała, że musi wyjrzeć przez okno, żeby to przemyśleć, i właśnie wtedy zobaczyła mężczyznę przecinającego plac zabaw.

Z miejsca, w którym stała, widziała drogę, kilkadziesiąt metrów asfaltu, tu i ówdzie upstrzonego kratkami do gry w klasy. Nieco dalej znajdował się plac zabaw z huśtawkami, zjeżdżalniami, ścianą wspinaczkową i rzędem stalowych rur, w które dzieciaki uderzały jak w gongi, tworząc własną

muzykę (te rury Harper nazywała w duchu „ksylofonem potępionych”).

Trwała pierwsza godzina lekcyjna, jedyna pora dnia, kiedy za oknem gabinetu nie widziała gromady rozwrzeszczanych, biegających, śmiejących się i wpadających na siebie dzieci. Był tylko ten człowiek – facet w workowatej, zielonej kurtce wojskowej i luźnych, brązowych spodniach roboczych, z twarzą ukrytą pod daszkiem brudnej bejsbolówki. Przeciął na skos asfaltową drogę i znalazł się na tyłach budynku. Głowę miał spuszczoną i zataczał się, jakby nie potrafił iść prosto. Z początku Harp pomyślała, że jest pijany. Dopiero po chwili zobaczyła dym wydobywający się z rękawów. Gęsty, biały opar wylewał się spod kurtki, kłębił wokół rąk mężczyzny i unosił się zza kołnierza, spowijając długie ciemne włosy mężczyzny.

Facet, potykając się, zszedł z chodnika prosto na plac zabaw. Zrobił trzy kroki, zatrzymał się i położył prawą rękę na drewnianym szczeblu drabinki. Nawet z tej odległości Harp widziała coś na wierzchu jego dłoni, ciemny pasek podobny do tatuażu, ale upstrzony plamkami złota, mieniącymi się jak drobinki kurzu w oślepiających promieniach słońca.

Widziała w wiadomościach doniesienia, ale w pierwszej chwili nie bardzo zdawała sobie sprawę, czego właściwie jest świadkiem. Słodczyce wypadły z pudełka i z grzechotem rozsypały się po podłodze. Ona jednak niczego nie słyszała; nie miała pojęcia, że pudełko przechyliło jej się w ręce, sypiąc naokoło minibatonikami i czekoladkami Hershey's Kisses. Raymond patrzył, jak ziemniak z plaśnięciem spada na podłogę i wtacza się pod szafkę.

Mężczyzna, który przed chwilą zataczał się jak pijany, zaczął zapadać się w sobie. Nagle wygiął się w łuk, konwulsyjnie odrzucił w tył głowę, a przód jego koszulki stanął w płomieniach. Harper zdążyła zerknąć na jego wymizerowaną, udreńczoną twarz i chwilę później głowa nieznajomego zmieniła się w pochodnię. Lewą ręką próbował

ugasić płomienie na piersi, prawą nadal trzymał się drabinki. Palce prawej dłoni płonęły, osmalając sosnowe szczeble. Głowa mężczyzny coraz bardziej odchylała się do tyłu, a gdy otworzył usta, żeby krzyknąć, z jego gardła dobył się czarny dym.

Widząc minę Harper, Raymond obejrzał się przez ramię w stronę okna. Pudełko upadło na podłogę, a Harp pospiesznie wyciągnęła ręce do chłopca. Jedną przytrzymała zimny kompres, a drugą położyła mu na karku, zmuszając go, by odwrócił się od okna.

– Nie patrz, kochanie – powiedziała, zdumiona spokojem w swoim głosie.

– Co to było? – spytał chłopiec.

Sięgnęła za siebie, na oślep, szukając sznurka żaluzji. Mężczyzna na placu zabaw upadł na kolana. Pochylił głowę jak pogrążony w modlitwie muzułmanin. Jęzory ognia zmieniły go w stertę płonących szmat i gęstego dymu, który rozwiewał się w rześkim kwietniowym powietrzu.

Roleta opadła z metalicznym szczękiem, zasłaniając wszystko poza migotaniem złotego światła, które tańczyło szaleńczo na jej krawędziach.

KWIECIEŃ

1

Harper opuściła szkołę godzinę po tym, jak ostatnie dziecko poszło do domu, ale i tak wyszła wcześniej niż zwykle. Zazwyczaj kończyła pracę o siedemnastej, bo czuwała nad bezpieczeństwem mniej więcej pięćdziesięciorga dzieci, które zostawały w szkole po lekcjach, podczas gdy ich rodzice pracowali. Dziś o piętnastej w budynku nie było żywej duszy.

Wyłączywszy światła w gabinecie pielęgniarki, stanęła przy oknie i kolejny raz wyjrzała na plac zabaw. Na chodniku, w miejscu, gdzie strażacy użyli węża wysokociśnieniowego, żeby zmyć szczątki zwęglonego ciała, pozostała czarna plama. Miała przeczucie, że nigdy więcej nie wróci do tego pokoju i nigdy więcej nie wyjrzy przez to okno. Nie myliła się. Tego wieczoru szkoły w całym stanie zostały zamknięte, a lokalne władze zapewniały, że zajęcia zostaną wznowione, gdy tylko kryzys zostanie opanowany. Tak się jednak nie stało – kryzysu nie opanowano.

Harper wyobrażała sobie, że będzie miała cały dom tylko dla siebie, ale kiedy wróciła, Jakob już tam był. Włączony telewizor grał cicho, a Jakob rozmawiał przez telefon. Sądząc po jego głosie – spokojnym, opanowanym, niemal leniwym – trudno było zgadnąć, że jest rozemocjonowany. Trzeba było go zobaczyć krążącego po pokoju, żeby zrozumieć, jak bardzo się denerwuje.

– Nie, nie widziałem tego na własne oczy. Johnny Deepenau pojechał tam jedną ze swoich ciężarówek i pomagał usuwać szczątki z drogi. Zrobił zdjęcia komórką i przesłał je nam. Wygląda, jakby w środku wybuchła jakaś bomba. Jak po ataku terrorystycznym, jak... Zaczekaj. Właśnie weszła Harp. – Jakob opuścił telefon i przyłożył go do piersi. – Nie wracałaś przez centrum, prawda? Wiem, że nie. Zamknęli wszystkie drogi od North Church aż do biblioteki. W całym mieście roi się od gliniarzy i żołnierzy Gwardii Narodowej. Autobus stanął w płomieniach i uderzył w słup telefoniczny. Jechali nim Chińczycy zarażeni tym cholerstwem, pieprzoną smoczą łuską. – Odetchnął, pokręcił głową, jakby nie mógł uwierzyć, że jacyś ludzie mieli czelność stanąć w płomieniach w centrum miasta w taki piękny dzień, odwrócił się i przyłożył telefon do ucha. – Nic jej nie jest. O niczym nie wiedziała. Jest już w domu i coś mi mówi, że czeka nas awantura, jeśli myśli, że w najbliższym czasie pozwolę jej wrócić do pracy.

Harper usiadła na skraju kanapy i spojrzała na telewizor. W lokalnych wiadomościach pokazywano materiał z wczorajszego meczu Celtic, jakby nic się nie wydarzyło. Isaiah Thomas stanął na palcach, odchylił się, zamachnął i wyrzucił piłkę prawie na połowę boiska. Wtedy nie mogli o tym wiedzieć, ale przyszły tydzień oznaczał koniec sezonu. Do lata większość zawodników Celtics nie żyła, a powodem śmierci był samozapłon lub samobójstwo.

Jakob krążył po pokoju w sznurkowych sandałach, ciemnych dżinsach i równie ciemnej bluzie.

– Co? Nie. Nikt nie przeżył – rzucił do telefonu. – I wiem, że zabrzmi to brutalnie, ale cieszę się, że tak się stało. Przynajmniej nikt nas nie zarazi. – Słuchał przez chwilę, po czym roześmiał się i dodał: – Taa... kto zamawiał płonący półmisek?

Dotarł na koniec pokoju, do półki z książkami, odwrócił się i ruszył z powrotem. Po raz kolejny spojrzał na Harper i tym razem zobaczył coś, co go zmroziło.

– Hej, skarbie, nic ci nie jest? – zapytał.

Harper gapiła się na niego. Nie wiedziała, co powiedzieć. Było to zadziwiająco trudne pytanie, jedno z tych, które wymagały głębszego zastanowienia.

– Danny? Muszę kończyć. Chcę posiedzieć przez chwilę z Harp. Postąpiłeś słusznie, zabierając dzieciaki. – Urwał i po chwili dodał: – Tak, w porządku. Wyślę tobie i Gail zdjęcia, ale jakby co, nie macie ich ode mnie. Trzymajcie się.

Zakończył rozmowę, odłożył telefon i spojrzał na Harper.

– O co chodzi? Dlaczego wróciłaś tak wcześniej?

– Pod szkołą był mężczyzna – zaczęła Harp i nagle kawałek czegoś, emocji, które przybrały realny kształt, utknął jej w gardle.

Jakob usiadł na kanapie i położył rękę na jej plecach.

– Dobrze – uspokoił ją. – Już dobrze.

Nacisk na tchawicę ustąpił i Harper odzyskała głos.

– Był na placu zabaw. Widziałam go przez okno. Zataczał się, jakby był pijany. Nagle upadł i zaczął się palić. Płonął jak słomiana kukła. Połowa dzieci to widziała. Niektóre z nich były w szoku. Całe popołudnie starałam się je uspokoić.

– Och, skarbie. Trzeba było mi powiedzieć. Nie wisiabym tyle na telefonie.

Odwróciła się i przytuliła głowę do jego piersi, a on objął ją szczupłymi, umięśnionymi ramionami.

– W pewnym momencie na sali gimnastycznej było czterdzieścioro dzieci, kilku nauczycieli i dyrektor. Jedne płakały, inne się trzęsły, a jeszcze inne wymiotowały. Ja sama miałam ochotę płakać, trząść się i wymiotować.

– Ale tego nie zrobiłaś.

– Nie. Zamiast tego rozdałam sok w kartonach. Nowatorska metoda leczenia.

– Zrobiłaś, co mogłaś – odparł. – Dzięki tobie Bóg jeden wie, ile dzieciaków zniosło jakoś ten koszmarny widok. Wiesz o tym, prawda? Zobaczysz, do końca życia zapamiętają, jak się nimi opiekowałaś. Na szczęście masz to już za sobą i jesteś

ze mną w domu.

Przez chwilę siedziała w milczeniu, otoczona wianuszkim jego ramion, wdychając ten szczególny zapach – mieszankę wody kolońskiej o zapachu drzewa sandałowego i kawy.

– Kiedy to się stało? – Jakob wypuścił Harper z objęć i wbił w nią spojrzenie oczu koloru migdałów.

– Na pierwszej lekcji.

– Dochodzi piętnasta. Jadłeś lunch?

– Nieee.

– Kręci ci się w głowie?

– Aha.

– Zróbmy ci coś do jedzenia. Nie wiem, co jest w lodówce. Może coś zamówimy.

Kto zamawiał płonący półmisek? – pomyślała Harper i poczuła, że pokój kołysze się jak pokład statku. Opadła na poduchy kanapy.

– Może tylko wody – odparła.

– A co powiesz na wino?

– Jeszcze lepiej.

Jakob wstał i podszedł do stojącego na półce stelaża na butelki z winem. Przyglądając się kolejnym etykietom – które wino najlepiej komponuje się ze śmiertelną epidemią? – odezwał się:

– Myślałem, że takie rzeczy dzieją się tylko w krajach, gdzie zanieczyszczenie jest tak ogromne, że powietrze jest gęste jak zupa, a rzeki przypominają ściek. W Chinach. Rosji. Byłej Komunistycznej Republice Szambostanu.

– Rachel Maddow mówiła, że w samym Detroit było prawie sto przypadków. Opowiadała o tym wczoraj wieczorem.

– Właśnie o to mi chodzi. Myślałem, że takie rzeczy zdarzają się tylko w paskudnych miejscach, w których nikt nie chciałby być: w Czarnobyliu, Detroit. – Wyjął korek z butelki.

– Nie rozumiem, po co ktoś z zarażonych miałby wsiadać do autobusu. Albo samolotu.

– Może bali się kwarantanny. Myśl o tym, że mogą cię

trzymać z dala od najbliższych, dla wielu ludzi jest bardziej przerażająca niż sama choroba. Nikt nie chce umierać w samotności.

– Masz rację. Po co umierać samemu, kiedy można mieć towarzystwo? Nie ma większego dowodu miłości, niż zarazić najbliższych pieprzoną nieuleczalną chorobą. – Nalał do kieliszka złocistego wina, które przywodziło na myśl zamknięte w szkle, destylowane światło słoneczne. – Gdybym był chory, prędzej bym umarł, niż zaraził ciebie. Niż naraził cię na ryzyko. Myślę, że łatwiej byłoby odebrać sobie życie, wiedząc, że robię to, żeby chronić innych. Nie wyobrażam sobie czegoś bardziej nieodpowiedzialnego niż paradowanie po mieście z czymś takim. – Podając Harper kieliszek, pieszczotliwie musnął jej palce. Potrafił dotykać czule, z wyrozumiałością; to było w nim najlepsze: zawsze wiedział, kiedy zatknąć jej za ucho zbłąkany kosmyk włosów albo pogładzić ją po karku. – Łatwo zarazić się czymś takim? Przenosi się jak grzybica stóp, prawda? Tak długo, jak myjesz ręce i nie chodzisz boso po siłowni, nic ci nie będzie. Hej! Hej... Nie podchodziłaś do tego martwego faceta, prawda?

– Nie. – Harper nie zadała sobie trudu, żeby wetknąć nos do kieliszka i delektować się zapachem francuskiego bukietu, jak ją uczył. Kiedy miała dwadzieścia trzy lata, zaczęła z nim sypiać i była tak pijana miłością, jak nigdy nie będzie winem. Jednym haustem wypła swoje sauvignon blanc.

Jakob z westchnieniem opadł na poduchy i zamknął oczy.

– To dobrze. To bardzo dobrze. Masz koszmarną potrzebę opiekania się ludźmi, co w normalnych okolicznościach nie jest niczym złym, ale w niektórych sytuacjach musisz pomyśleć o...

Ale Harper go nie słuchała. Zamarła, pochyliła się do przodu i odstawiała kieliszek na stolik. W telewizji wiadomości sportowe zostały przerwane, a na ekranie pojawił się starszy mężczyzna w szarym garniturze, prezenter o nieśmiałych niebieskich oczach za szklami okularów dwuogniskowych.

Pasek u dołu ekranu głosił: Z OSTATNIEJ CHWILI: SPACE NEEDLE PŁONIE.

– ...się do Seattle – mówił prowadzący. – Uprzedzamy, że materiał jest bardzo drastyczny i przygnębiający. Jeśli przed telewizorami znajdują się dzieci, prosimy, żeby go nie oglądały.

Zanim skończył, na ekranie pojawiły się zrobione z helikoptera zdjęcia wieży w Space Needle, która zdawała się dźgać bezchmurne, błękitne niebo. Wnętrze tarasu widokowego wypełniał czarny dym, który buchał przez okna, przesłaniając krążące wokół śmigłowce.

– Boże – jęknął Jakob.

Mężczyzna w białej koszuli i czarnych spodniach wyskoczył z jednego z otwartych okien. Jego włosy płonęły, a ramiona rozpaczliwie młóciły powietrze. Chwilę później jego śladem poszła kobieta w ciemnej spódnicy. Skacząc, przycisnęła dłonie do ud, jakby bała się, że pęd powietrza zadrze materiał i cały świat zobaczy jej bieliznę.

Jakob wziął Harper za rękę. Splotła palce z jego palcami i ścisnęła je.

– Co się dzieje, do cholery? – spytał. – Co to, kurwa, jest?

MAJ-CZERWIEC

2

Według stacji FOX smoka uwolniło ISIS, wykorzystując zarodniki stworzone przez rosyjskich naukowców w latach osiemdziesiątych dwudziestego wieku. Zdaniem MSNBC wszystko wskazywało na to, że smocza łuska była dziełem inżynierów z Halliburton, wykradzionym przez członków chrześcijańskiej sekty, którzy sfiksowali na punkcie Apokalipsy świętego Jana. CNN przychyliło się do obu teorii.

Przez cały maj i czerwiec na każdym kanale toczyły się debaty, które nadawano w przerwach między transmisjami z kolejnych miejsc ogarniętych pożarami.

Kiedy Glenn Beck spłonął żywcem w trakcie swojego programu internetowego – na oczach ludzi, którzy widzieli, jak pod wpływem temperatury okulary wtapiają mu się w twarz – telewizyjni eksperci przestali dyskutować o tym, kto to zrobił, a skupili się na tym, jak się nie zarazić.

LIPIEC

3

Strażak sprawiał kłopoty.

– Proszę pana – odezwała się siostra Lean. – Proszę pana, nie może pan się wpychać. Zostanie pan zbadany, kiedy przyjdzie pańska kolej.

Strażak zerknął przez ramię na ogonek, który ciągnął się na całej długości korytarza i zakrecał za róg. Spojrzał na siostrę Lean. Miał brudną twarz, nosił tę samą żółtą gumową kurtkę co wszyscy strażacy i trzymał w ramionach dziecko, chłopca, który obejmował go za szyję.

– Nie wpycham się. Wychodzę z kolejki. – Mówił z akcentem, który zwracał uwagę. Nikt nie spodziewał się londyńskiego akcentu po strażaku z New Hampshire. – Chodzi o coś innego. Nie o łuskę. Mój synek potrzebuje lekarza. Natychmiast, nie za dwie godziny. To w końcu oddział ratunkowy. Nie rozumiem, dlaczego nikt nie potrafi tego zrozumieć.

Harper szła wzdłuż kolejki, rozdając dzieciom lizaki i papierowe kubki z sokiem jabłkowym. Dla tych najbardziej nieszczęśliwych miała w jednej kieszeni rzodkiewkę, a w drugiej ziemniak.

Mocny brytyjski akcent zwrócił jej uwagę i podniósł ją na duchu. Kojarzył się jej ze śpiewającymi imbryczkami, szkołami magii i zdolnością dedukcji. Wiedziała, że nie najlepiej to o

niej świadczy, ale niespecjalnie się tym przejmowała. Uważała, że wszystkiemu winni są Brytyjczycy, którzy przez ostatnie sto lat uparcie promowali swoich detektywów, czarodziejów i nianie, tak więc musieli się liczyć z konsekwencjami.

Potrzebowała czegoś, co poprawi jej nastrój. Przez cały rano wkładała do worków na zwłoki zwęglone, poczerńnięte ciała, wciąż jeszcze ciepłe i dymiące. Z powodu kurczących się zapasów worków musiała spakować do jednej torby ciała dwójki dzieci, co wcale nie było takie trudne. Dzieci spłonęły, tuląc się do siebie, by po śmierci zmienić się w splątaną kocią kołyskę osmalonych kości. Wyglądały jak rzeźba inspirowana muzyką deathmetalową.

Harper nie była w domu od pięciu dni i spędzała osiemnaście godzin dziennie w gumowym kombinezonie zaprojektowanym z myślą o walce z wirusem ebola. Rękawiczki były tak ciasne, że aby je włożyć, musiała smarować ręce wazeliną. Cuchnęła jak prezerwatywa. Za każdym razem, gdy czuła ten zapach gumy i wazeliny, przypominała sobie szybkie numerki w akademiku.

Przeszła na początek kolejki i stanęła za plecami strażaka. To ona odpowiadała za komfort ludzi, którzy czekali na swoją kolej, nie siostra Lean. Poza tym nie chciała drażnić przełożonej. Pracowała w Portsmouth Hospital od trzech tygodni i prawdę mówiąc, trochę się jej bała. Jak wszystkie wolontariuszki.

– Proszę pana – powtórzyła siostra Lean głosem, w którym pobrzmiwało zniecierpliwienie. – W tej kolejce są same nagłe przypadki. Ciągną się aż do holu. Przyjmujemy je w kolejności, w jakiej się tu zjawiają.

Strażak zerknął przez ramię na kolejkę, która rzeczywiście ciągnęła się korytarzem aż do poczekalni. Sto trzydzieści jeden osób (Harper liczyła), zmęczonych i naznaczonych smoczą łuską, spoglądało na niego z rozżaleniem.

– Oni mogą zaczekać. Ten chłopiec nie może – warknął mężczyzna, odwracając się do siostry Lean. – Może wyjaśnię

to inaczej.

Pod prawą pachą trzymał zardzewiały żelazny pręt zakończony z obu stron hakami, kolcami i czymś podobnym do obucha siekiery. Gdy rozluźnił ramię, pręt wpadł prosto w jego otwartą dłoń, jednym końcem dotykając niemal brudnego linoleum. Mężczyzna potrząsnął nim, ale go nie podniósł.

– Albo przepuście mnie przez te drzwi, albo wezmę to i zacznę rozwalać wszystko dookoła. Począwszy od okien, a skończywszy na komputerach. Sprowadźcie lekarza albo mnie przepuście, ale nie myślcie sobie, że będę tak stał i czekał, aż ten dziewięciolatek umrze mi na rękach.

Albert Holmes szedł niespiesznie korytarzem, mijając dwuskrzydłowe drzwi do gabinetów. On również miał na sobie gumowy kombinezon. Jedyne, co wyróżniało Ala od reszty personelu medycznego, było to, że zamiast gumowego kaptura miał na głowie czarny kask szturmowy z opuszczoną szklaną osłoną. Zachował też pas z odznaką oraz walkie-talkie na jednym biodrze i pałkę policyjną na drugim.

On i Harper nadeszli z przeciwnych kierunków.

– Wyjaśnijmy sobie coś – rzucił Al. – Posłuchaj, kolego, nie możesz tu wejść z tym... jak wy to nazywacie? Chuliganem? Strażacy muszą zostawiać swój sprzęt przed wejściem do szpitala.

– Proszę pana, jeśli pójdzie pan ze mną, chętnie porozmawiam z panem o dolegliwościach pańskiego syna – zaproponowała Harper.

– To nie jest mój syn, a ja nie jestem rozhisteryzowanym ojcem – odparł strażak. – Jestem człowiekiem z chorym dzieciakiem i ciężkim żelaznym prętem. Jeśli ktoś nie zajmie się tym pierwszym, dostanie to drugie. Chcecie ze mną rozmawiać? Gdzie? Za tymi drzwiami, gdzie są lekarze, czy na końcu kolejki?

Wytrzymała jego spojrzenie, prosząc w duchu, by zachował spokój, i obiecując beżgłośnie, że w zamian za to będzie dla niego miła, wysłucha go i zajmie się chłopcem z należytą

troską i cierpliwością. Starła się powiedzieć mu, że próbuje go chronić, bo jeśli się nie uspokoi, skończy z twarzą wciśniętą w podłogę, gazem pieprzowym w oczach i ciężkim buciorem na karku. Harper była wolontariuszką od niespełna miesiąca, zdążyła się jednak przyzwyczaić do widoku ochroniarzy dających wycisk niezdyscyplinowanym pacjentom.

– Proszę za mną. Dam małemu lody cytrynowe, a pan opowie mi, co mu jest...

– Na koniec kolejki. Tak myślałem. – Mężczyzna odwrócił się i zrobił krok w stronę dwuskrzydłowych drzwi.

Stojąca mu na drodze siostra Lean wyglądała groźniej niż Albert Holmes. Była wyższa, miała obfity biust i posturę zawodnika blokującego.

– PROSZĘ PANA – przemówiła. – Jeszcze jeden krok i dziś po południu będziemy opatrywać pańskie siniaki i stłuczenia. – Omiotła zimnym, beznamiętnym spojrzeniem czekających. Jej kolejne słowa były skierowane do nich wszystkich. – W tej kolejce obowiązuje pewien porządek. Możemy utrzymać go po dobroci albo siłą, ale go utrzymamy. Czy wszyscy mnie rozumieją?

Wśród ludzi rozległy się niskie pomruki aprobaty.

– Przepraszam. – Po skroniach strażaka spływały krople potu. – Pani chyba nie rozumie. Ten chłopiec...

– Co z nim? Poza tym, że cierpi na to, co wszyscy? – warknęła siostra Lean.

Chłopiec był chyba najładniejszym dzieckiem, jakie Harper widziała w całym swoim życiu. Jego ciemne, kręcone włosy tworzyły uroczą płataninę nad świetlistymi oczami koloru butelkowej zieleni. Miał na sobie szorty, więc każdy mógł zobaczyć znamiona na jego łydkach: czarne zakrętasy podobne do tatuaży, delikatne i niemal ozdobne.

– Jeśli nie jest pan zarażony, nie powinien pan go trzymać – powiedziała siostra Lean bez śladu troski w głosie. – Jest pan zarażony?

– Tu nie chodzi o mnie – odparł strażak. Dopiero później

Harper uświadomiła sobie, że był to sprytny sposób, żeby wymigać się od odpowiedzi. – Zresztą on mnie nie dotyka.

Miał rację. Chłopiec, którego trzymał na rękach, miał odwróconą głowę i przywarł policzkiem do kurtki mężczyzny. Mimo to, jeśli strażak nie był chory, to albo nie obawiał się konsekwencji, co zakrawało na szaleństwo, albo po prostu był szaleńcem.

– Co mu jest?

– To coś z żołądkiem – odparł mężczyzna. – Coś jest nie tak z jego żołądkiem. Ledwie trzyma się na nogach...

– Strasznie tu gorąco – zauważyła siostra Lean. – Na pewno nie jest jedynym dzieckiem z bólem brzucha. Proszę wrócić na koniec kolejki i...

– Nie. Nie. Proszę – powiedział z naciskiem. – To dziecko niedawno straciło matkę. Była w budynku, który zawalił się kilka dni temu.

Siostra Lean przygarbiła się i na krótką chwilę z jej twarzy można było wyczytać ponure współczucie. Po raz pierwszy i jedyny zdawała się nie patrzeć na strażaka, ale na chłopca skulonego w jego ramionach.

– Ach – westchnęła. – To straszne. Posłuchaj, skarbie, to po prostu straszne. – Jeśli chłopiec ją słyszał, nie dał po sobie poznać. Tymczasem siostra Lean podniosła wzrok na strażaka, a na jej twarz wróciła zajadłość. – Coś takiego! Kto w dzisiejszych czasach nie chciałby cierpieć na ból brzucha?

– Chwileczkę. Proszę pozwolić mi dokończyć. Budynek zawalił się, grzebiąc pod gruzami jego matkę, a on tam był...

– Są wykwalifikowani psychologowie, którzy z pewnością porozmawiają z nim o tym, co się wydarzyło, i może nawet podadzą mu coś gazowanego i słodkiego na niestrawność.

– Niestrawność? Czy pani mnie w ogóle słucha? Ten dzieciak nie potrzebuje coca-coli i uśmiechów, potrzebuje lekarza...

– I zostanie zbadany, kiedy przyjdzie jego kolej...

– Kiedy godzinę temu wziąłem go na ręce, krzyczał jak

opętany. To chyba nie są oznaki niestrawności, ty niewrażliwa cipo?

– Hej – wtrącił się Albert Holmes. – Tylko bez takich...

Twarz siostry Lean zrobiła się paśowa. Kobieta rozłożyła ramiona jak dzieciak udający samolot.

– ALBO WRÓCISZ Z CHŁOPCEM NA KONIEC KOLEJKI, ALBO TRAFISZ NA ODDZIAŁ Z TYM ŻELAZNYM PRĘTEM WETKNIĘTYM W SWÓJ WĄSKI, ANGIELSKI TYŁEK! ROZUMIESZ?

Harper wybuchłaby płaczem, gdyby siostra Lean wrzasnęła tak na nią. Jej głos przywodził na myśl ryk huraganu. Dzieci w kolejce zasłoniły uszy i ukryły twarze za nogami matek.

Tymczasem Anglik nawet nie drgnął – mierzył przełożoną pielęgniarkę wściekłym wzrokiem. Harper potrzebowała chwili, by odnotować fakt, że chłopiec również się nie poruszył. Patrzył na nią rozmarzonym, nieobecny wzrokiem. Podejrzewała, że zemdłał z gorąca, ale okazało się, że chodziło o coś więcej.

– Proszę pana – zwróciła się do strażaka. – Na pewno mogę jakoś pomóc. Możemy porozmawiać o dolegliwościach chłopca na końcu kolejki, a jeśli będzie wymagał natychmiastowej pomocy, sprowadzę lekarza. Jeżeli to rzeczywiście problemy żołądkowe, lepiej będzie się uspokoić i przestać krzyczeć. Porozmawiajmy na końcu korytarza. Proszę. Tylko pan i ja... Co pan na to?

Z twarzy mężczyzny zniknęła wszelka złość, a jego usta wykrzywił grymas, który mógł uchodzić za znużony uśmiech. Być może chłopiec rzeczywiście stracił matkę, ale w tamtej chwili dotarło do Harper, że mężczyzna w mundurze strażaka sam jest pogrążony w bólu. Wyczytała to w jego szklistym, umęczonym spojrzeniu człowieka, który doświadczył głębokiej straty.

– Pani też lubi Dire Straits? Jest pani za młoda. Ostatnim razem, kiedy nagrali jakiś hit, bawiła się pani klockami.

– Nie nadążam – przyznała Harper.